

Potwór i cokół

24 sierpnia 2009

Postacie publiczne nie mogą już liczyć na sławę pośmiertną. Gdy mija oficjalna żałoba wywołana ich odejściem, zapada wokół nich milczenie.

Takiego losu można spodziewać się i dla Zbigniewa Zapasiewicza. W jego nekrologach przypominano, że był wielkim aktorem. Niestety, kreacje z ostatniego okresu jego biografii twórczej, które najłatwiej obejrzeć, nie zawsze tę ocenę potwierdzają. Wcześniejsze za to dowodzą jej w całej pełni. Często jednak nie mogą się one już obejść bez historycznego komentarza.

Nie da się uniknąć odkrycia Ameryki: majstersztykiem Zapasiewicza była rola cynicznego docenta w „Barwach ochronnych”. Zwykle talent aktorski wykorzystuje możliwości stworzone mu przez scenariusz. Zapasiewicz tymczasem dokonał czegoś nieporównanie trudniejszego. Osiągnął szczyty artystyczne w ramach sztucznego, intelektualnie uproszczonego i totalnie nieprawdziwego tekstu. Dzięki temu uratował film, który na taki zabieg nie dawał prawie żadnych szans.

„Barwy ochronne” – nie wyróżniając się pod tym względem spośród innych moralistycznych kazań, wygłaszanych przez Krzysztofa Zanussiego na dużym ekranie – były manifestem oportunistycznego konserwatysty. Zanussi, tęskniąc za dawnymi dobrymi czasami, godził się koniunkturalnie ze stosunkami panującymi w PRL. Chętnie przy tym demonstrował, że zawierane kompromisy przysparzają mu niemało cierpień duchowych.

Z takich dość mętnych źródeł lirycznych narodziła się fabuła „Barw ochronnych”. Zgodnie z upowszechniającą się modą na przedstawianie rzeczywistości z odpowiednią dozą moralnego niepokoju, ukazano tam dość karykaturalny obraz światka akademickiego z epoki gierkowskiej. Jego wady – w

przeświadczeniu Zanussiego – brały się stąd, że w togi rektorskie poubierano osobników, którzy ich nosić nie powinni. Brakowało im bowiem dobrych manier, odpowiedniego wyglądu, a zwłaszcza – co scenariusz, by nie urazić cenzury i krytyki partyjnej, zaznaczał dość dyskretnie – szacownego urodzenia. Mariusz Dmochowski brawurowo wypełnił zadanie, które postawił mu Zanussi, wcielając się w równie prymitywnego i niekulturalnego, co opasłego rektora. Odgrywany przez niego bohater swoją karierę – łatwo się domyślić – zawdzięczał oszustwom, plagiatom i zasługom na stalinowskim froncie ideologicznym.

Rządy aż do tego stopnia pozbawione moralnego standardu i dobrego gustu muszą prowokować do buntu. Ten jednak okazuje się bardziej niebezpieczny od utrzymania status quo. W „Barwach ochronnych” jego rzecznikiem jest niezrównoważony student, który uwierzył w dość absurdalną teorię językoznawczą, zgodnie z którą znaczenia słów można domyślić się z samych dźwięków. – „To pomyłone – komentował trzeźwo Zapasiewicz jako naukowy stary wyga, którego nie zwiodą rewelacje młodocianych wieszczów. – Przecież »góra« po japońsku nazywa się »jama«, a więc brzmi dokładnie tak samo, jak polska »dziura w ziemi«”.

Nawiedzony badacz – zamiast oczekiwanego przez siebie pierwszego miejsca w konkursie – otrzymał coś w rodzaju nagrody pocieszenia. To i tak więcej niż miał prawo liczyć. Dziś na Zachodzie, jeśli w ogóle by go dopuszczono do głosu na forum ludzi nauki, zostałby wyszydzony przyznaniem mu „IgNoble Prize”. Nie na darmo wszakże należy on do buntowników, którzy zwykli ignorować realia. Z taką wprawą upija się tanim winem, że wolno wnioskować, iż weszło to już u niego w zgubny nałóg. Wezwany po odbiór wyróżnienia, prosi Dmochowskiego, żeby ten do niego się nachylił – i zaraz, korzystając z okazji, gryzie go w ucho. Tak oto wyrafinowany intelektualista Zanussi rozliczał się z PRL, kopiując doskonale znane co ambitniejszym licealistom wyczyny Mikołaja Stawrogina. Niewyszukane

nawiązania do wielkiej sztuki uzupełnił aluzjami politycznymi dla mniej czytanej publiczności. Studenta-szaleńca tępi podczas konferencyjnej dyskusji słuźalczy wobec władz partyjnych adiunkt, posługujący się formułkami materializmu dialektycznego.

Bardziej znormalizowanym rówieśnikom niefortunnego kontestatora mało co chodzi po głowie prócz imprezy, alkoholu i seksu. Słusznie poniekąd nie lubią dyscypliny, którą narzuca – czynna i w trakcie wakacyjnego obozu – uczelniana biurokracja. Gdyby jednak dać im wolną rękę, pogrążyliby się – jak to określał klasyk polskich konserwatystów, Henryk Sienkiewicz – w rui i porubstwie. Urządzając pijackie orgie, wyrządziliby sobie szkody na zdrowiu, zniszczyli przyrodę ojczystą i po niewielu miesiącach od powrotu w domowe pielesze ocknęli z niechcianymi dziećmi. Zła władza, która usiłuje ich kontrolować, ma więc (jak każdy społeczny autorytet, który nawet odznaczając się wadami i grzechami od Boga pochodzi, bo inaczej by go nie było) trochę racji. Obiecujący asystent, którego gra Piotr Garlicki, specjalizujący się za czasów Gierka w rolach współczesnionych Kordianów, stara się wobec tego pogodzić ogień z wodą. Broni ładu i porządku, nie utożsamiając się równocześnie z Dmochowskim i jego urzędnikami.

Wariat, który pomieszał górę z jamą, a w końcu pogryzł rektora – wypomni mu wszakże Zapasiewicz – przynajmniej był „jakiś”. A ty – doda bezlitośnie – jesteś „żaden”. Gdy zupełnie już oszalały adept językoznawstwa barykaduje się w domku kempingowym, Dmochowski każe do jego unieszkodliwienia wezwać patrol MO. Garlicki posłusznie wykonuje to polecenie. Później jednak próbuje się zatroszczyć, żeby awanturnikowi nie stała się krzywda. Ale, ale... Czy strażnicy porządku – choćby nawet z przyzwoitej policji państwowej, o której wtedy nikomu się jeszcze nie śniło – mogliby do uspokojenia swego podopiecznego, który wybija szyby i grozi nożem, użyć cytatów z Platona? Wyciągają zatem pałki, w których ukazaniu na

ekranie Zanussi proponował zapewne dopatrywać się opozycyjnej wymowy politycznej jego dzieła.

Garlicki, który postąpił tak, jak mu zwierzchność kazała, przestaje być w naszych oczach wiarygodnym kontestatorem. Z drugiej strony, opóźniając siłowe usunięcie warchoła z obozu dla pracującej naukowo socjalistycznej młodzieży, wzbudza niechęć rektora, o którego względy zabiegał. Zanussi musiał głęboko przeżywać dylematy asystenta ze swojego filmu. Przed Sierpniem '80, prominentni twórcy PRL, do których należał, demonstrując od czasu do czasu, iż nie przepadają za narzuconą władzą, dbali, żeby jej się na serio nie narazić. Unikali więc towarzystwa desperatów, którzy ostatnio wspomniany błąd popełniali. Maria Janion, gdy namówiono ją na wzięcie udziału w seminarium tzw. latającego uniwersytetu, z prawdziwie olimpijskim dystansem skomentowała jego przeniesienie z wcześniej wyznaczonego, względnie neutralnego lokalu do mieszkania jednego z intelektualistów, współpracujących blisko z Jackiem Kuroniem: „Jak widać, w tym kraju nie ma już nic między UB a KOR-em”.

Wiadomo ze staropolskiego przysłowia, iż pokorne cielę dwie matki ssie (tak właśnie, jak niejeden artysta bądź humanista umiał postępować z mecenatem partyjnym i opozycyjnym). Jednakże, chętnych do siedzenia okrakiem na barykadzie rzadko kiedy się lubi. Mimo starań empatycznie mu życzliwego Zanussiego, asystent z „Barw ochronnych” nikomu nie przypada do smaku. Na równi ze studentami spod jego opieki oraz władzami macierzystego uniwersytetu, krzywi się na niego realnie istniejąca publiczność.

Wśród postaci „Barw ochronnych” zwraca uwagę jeszcze stypendystka z Polonii kanadyjskiej, którą odtwarza Christine Paul-Podlaski. – „Wy jesteście – żali się ona Garlickiemu – tacy complex and profound”. A przecież rozsądne życie polega na tym, żeby wykonywać zobowiązania zawodowe, rozmawiać o pogodzie, bawić się, kiedy jest czas po temu, i uprawiać seks. Faktycznie, przemiła rodaczka zza oceanu nie skąpi nam

błyskotliwych przykładów wszystkich tych czynności. Kręcąc „Barwy...”, Zanussi mógł tylko tęsknie – i dyskretnie – wzdychać do geopolitycznego przeniesienia Polski na Zachód. Mimowolnie zdradził jednak, że jemu i podobnie odczuwającym w tych ukrywanych marzeniach nie szło bynajmniej o ratowanie ojczyzny przed imperium zła. Ich tęsknoty całkowicie zaspokajała drobnomieszczańska normalność.

„Barwy ochronne” składają się z całkowicie nieprzekonujących scen. Trafniej i mądrzej nie dałoby się chyba wyrazić stanowiska ideowego, które zajął w nim Zanussi. Nie znosił on partyjnych ekip rządzących, do których miał pretensje, że z ich funkcjonariuszami nie da się konwersować – już szczególnie po francusku – o zabytkach w turystycznie atrakcyjnych miejscowościach, antykach czy biżuterii. Z niemniejszą antypatią spoglądał na opozycjonistów, którzy – gdyby udało im się wyprowadzić naiwną młodzież na ulicę – gotowi byłiby na lata utrudnić mu otrzymywanie paszportu.

Nietrudno wyfantazjować, jaki byłby w tym filmie Zapasiewicz, gdyby dopasował się do wizji Zanussiego. Uwijając się wokół rektora, mrugałby w regularnych odstępach do widowni i mruczał pod nosem: „Jeżeli nie ma Boga, to wszystko jest dozwolone”. Mógłby też krzywić się z obrzydzenia do samego siebie. W topornym – mimo udawanej subtelności – świecie „Barw ochronnych” przeznaczono mu miejsce zdrajcy. Docent Jakub Szelestowski na przekór swemu rodowodowi socjalnemu i wykształceniu przeszedł na „ciemną stronę mocy”. Nie tylko współpracował z komunistami, wyciągając z tego maksimum korzyści (bo tak, według Zanussiego, zachowywał się każdy roztropnie myślący spadkobierca prawowitej elity), ale w dodatku czynił to z przewrotną satysfakcją. Gdyby raz w roku jeździł do kościoła w innej dzielnicy i tam, ciesząc się pewnością, że nie spotka nikogo ze znajomych, przeprowadzał sakramentalny rachunek sumienia, zasłużyłby w oczach Zanussiego na pełne uznanie. On tymczasem wyrzekł się wiary przodków i w ogóle przekreślił swe korzenie. Mało tego:

filozofując po amatorsku, twierdził, że człowiek nie różni się niczym od innych stworów ze świata przyrody.

Zapasiewicz, na szczęście, grał żywiołowo, nie zważając, czego chce Zanussi. Sekret jego aktorskiego geniuszu stanowiło chyba błyskawiczne przeobrażanie się z nobliwego mędrca w bestię. W epilogu „Barw...”, budzi on uśpionego swymi nudnymi wyborami moralnymi asystenta. – „No chodź, no chodź” – powtarza, przeraźliwie rechocząc. Chce mu pokazać, że jego ukochana, korzystając z ciepłej nocy nad jeziorem, oddaje się komuś innemu – i to, jak podkreśla, „kompletnemu zeru”. – „Widzisz – sugeruje pośrednio – na jakie dno potrafią spaść imponujące ci mądrości, piękne słowa, a tym bardziej pozy”. Zapasiewicz oddala się tutaj od wizerunku diabła ze zrozumianych na poziomie polskiego inteligenta powieści Dostojewskiego i Manna. Nie dowodzi więc przepastnie głębokim dyskursem, jak zgubne skutki wywołują relatywizm, sceptycyzm, nihilizm i kryzys kultury. Jest raczej leśnym albo bagiennym demonem.

W modelowym starym inteligencie, jakim był Zapasiewicz, ukrywał się plebejski „cham”, który – gdy przyszedł właściwy moment – wybuchał z niego na scenie czy planie filmowym. Szekspirowski rycerz Kent, dochowując królowi Lirowi wierności aż za grób, umie także łżyć dworskich sługusów. Grając go kiedyś w Teatrze Dramatycznym, Zapasiewicz wypuszczał z siebie obelgi tak, jakby urodził się i wychował na podwórkach starej Pragi. Jako Wagner ze słuchowiska radiowego, które na przełomie lipca i sierpnia, w jednej z przerw transmisji z festiwalu w Bayreuth, przypominał Program II Polskiego Radia, mówił on całkiem przekonująco o powołaniu romantycznego artysty. Niepowtarzalnie Zapasiewiczowskie wydało mi się tam jednak genialnie odtworzone chamstwo, którym twórca „Pierścienia” odreagowywał przymus zabiegania o pomoc materialną u ludzi, o których wiedział doskonale, że w porównaniu z nim byli pchełkami.

Zapasiewicz nie zdobyłby się na tego typu metamorfozy, gdyby nie wyczuwał, że świat społeczny, który go ukształtował –

całkiem niezależnie od losów Polski po II wojnie światowej – nieodwracalnie przeminął. Gdy to wyczucie go opuszczało, tracił swoją siłę. Jeden jedyny raz znudził mnie on na żywo w Teatrze Powszechnym, gdzie recytował wiersze z „Pana Cogito”. Szkoda, że docent Szelestowski nie pouczył go przed występem, że „cogito” musi zanurzyć się w przeciwnym względem niego żywiole – chociażby nawet w błocie – aby okazać się pomysłowe i twórcze. Inaczej wypacza się ono tak, jak to się stało przy ponownym – i całkiem już niedawnym – spotkaniu Zapasiewicza i Zanussiego w filmie „Persona non grata”. Wielki niegdyś aktor, występując tam jako ambasador odrodzonej Rzeczypospolitej, trwał przy zasadach, dokonywał rozrachunków z przeszłością i przeżywał egzystencjalny ból pożegnania z bliskimi (bodajże psem i żoną).

A propos Zapasiewicza, przypominają mi się jeszcze wykłady o żywym słowie, które w dekadzie Jaruzelskiego wygłosił on na warszawskiej polonistyce. Popisując się swoją maestrią, dla odpoczynku opowiadał anegdoty. Z pasją znęcał się nad kandydatką, która na egzaminie wstępnym do szkoły teatralnej nie potrafiła poprawnie wyrecytować „Elegii na śmierć Ludwika Waryńskiego”. – „Uwierzycie państwo? – wołał. – Ona nie powiedziała »myśli urywa się pasmo«, tylko »myśl...urwa siem..pasm!«”.

Zapasiewicz chyba rzeczywiście nie pojmował, jak można skompromitować się błędem w wymowie. Doczekał jednak kulturowej ery, gdzie wpadki jeszcze gorsze niż u kandydatki prześladowanej go we wspomnieniach stały się normą w mediach komercyjnych. Przypuszczam, że Zapasiewicz, aby bez obrzydzenia słuchać głosu prezentera, miał odbiornik stale nastawiony na „Dwójkę”. Ta jednak chyba nie o wiele go przeżyje.

Ale nie wyolbrzymiajmy. Istniejący porządek nie pofatyguje się zniszczyć kultury, jaką reprezentował Zapasiewicz. Najwyżej przesunie ją na jeszcze dalszy brzeg marginesu. I mało który artysta ukaże tę relację między kulturą a rzeczywistością w

kreacji wielkiej miary. Nie nastąpi to tym bardziej, że genialny potwór zastygł na cokole.

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Obywatel](#)